

PROSCENIUM



TATA MA KOTA
HERKULES I STAJNIA AUGIASZA
LUBLIN JEST KOBIETĄ
MATKA POLKA TEATRALNA
BEZ LĘKU
CZARODZIEJSKI FLET
FESTIWAL KONTESTACJE

TRAGEDIA NIE JEDNO MA IMIĘ

BARTŁOMIEJ MIERNIK



fol. Michał Buzzek

Po raz drugi obejrzałem *Oresteję* w reżyserii Jana Kláty ze Starego Teatru w Krakowie, kilka dni potem *Herkulesa...* w Osterwie. Klata, można powiedzieć, przypadkiem doszedł do tej mądrej greckiej tragedii, początkowo zapowiadał wystawienie opery Iannis Xenakisa. Dał tę premierę osiem lat temu, wówczas czytana jako krajobraz po katastrofie, z mgłą, z resztkami wentylatorów na scenie, ogromnych zresztą. Takie Ground Zero po atakach na World Trade Center. Kiedy oglądałem to po raz pierwszy, dawno, zastanawiałem się, co wydarzyło się przed akcją sceniczną? Jaki dramat ludzki?

Klitajmestra grana przez Annę Dymną chodzi tam i z powrotem z grymasem na twarzy, z takim skrajnym umęczeniem, w sukni ślubnej, mocno już... zmienionej przez te dziesięć lat, po poprawkach krawieckich. Wraca Agamemnon jak dowódca amerykańskich wojsk. Co kieruje tymi bohaterami w spektaklu Kláty? Czemu postępują jak bezwolne laleczki podobne do tych, które na ołtarzyku dla ojca ustawia Elektra?

Każda zbrodnia w tym pięknym i mądrym spektaklu przypomina klisze z gier komputerowych. Grając w nie, superbohater-Orestes właśnie poprzez walkę próbuje zaprowadzić sprawiedliwość. Najpierw Klitajmestra, a potem Orestes wprawnym ruchem chwytają ukrytą w gruzach siekiere i przy jazgotliwej, nieznośnej muzyce wybiegają za scenę, by dokonać zbrodni. Wracają ubroczeni krwią. Końcowy monolog Orestesa zaczerpnięty z Heinera Müllera będzie wyciem wirtualnej jednostki o przywrócenie realności i wyjście poza świat symulaków.

I tak sobie o tym wszystkim myślałem na i po przedstawieniu Kláty... Po *Herkulesie...* poszedłem na spacer z psem. ■

Bartłomiej Miernik – absolwent wiedzy o teatrze Akademii Teatralnej w Warszawie.



fol. Dorota Awrońko-Klimek

T JAK TEATR. POWIEŚĆ TEATRALNA

MAGDALENA KUSA

ODCINEK 5. NOCNE ZJAWY, LUTY 2012

– To na pewno on! – wydusiła scenicznym szeptem Kaśka, zamykając pośpiesznie drzwi na klucz i łańcuch, i wyjrzała ukradkiem przez okno – bierzmy te papiery i wracajmy, póki zostało z nas coś więcej niż serdeczny palec – oznajmiła.

– Kasiu, o czym ty mówisz? – zapytała jak zwykle rozsądna Julia.

– Jak to, o czym? – ekscytowała się przyjaciółka – o mordercy! To na pewno ten facet! Ciągłe chodzi z siekiere. Podświadomie daje nam znaki, że nas też poćwiartuje.

– Albo robi nas w konia. Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś tu umarł, nie wspominając o tym, że został zamordowany. A nawet jeśli, to jakie masz dowody na to, że to akurat on?

– Twoja zimna krew przeraża mnie w tej chwili bardziej niż morderca. Dowody? Proszę: jest po trzydziestce, więc w młodości mógł to zrobić; nosi ze sobą wszędzie narzędzie zbrodni, pojawia się nie wiadomo skąd, mieszka tu pewnie od dawna, nawet się nie przedstawił, za to cały czas nam w pewnym sensie grozi. Wystarczy? – wypaliła chaotycznie Kaśka.

– Kasiu, zobaczymy może, co jeszcze znajdziemy w szufladzie, ok? – usiłowała zmienić temat Julia.

– No... niech będzie – odparła niechętnie Kaśka – ale zaraz potem stąd spadzamy – zaznaczyła.

– Oczywiście – przytaknęła, ukrywając śmiech Julia, która wiedziała, że ciekawość przyjaciółki wygra z jej teoriami spiskowymi. – Popatrzmy. To chyba jakiś list – zastanawiała się, oglądając kawałek zniszczonej, brudnej kartki przewiązanej czerwoną wstążką: „Najdroższy Jasieńku, nie ma dnia, żebym nie zastanawiała się, gdzie jesteś i czy jeszcze na tym, czy już na tamtym świecie, i kiedy wrócisz z wojenki do dziewczyny swej. Tak mi ciężko bez Ciebie.

Nade mną chyba naprawdę wisi jakaś klątwa. Nie dość, że mamusia pretensje miała, że w innym teatrze gram, to i teatru już nawet nie ma. Teraz tu jest szpital wojskowy. I ja już nie śpiewam, nie występuję, najwyżej tylko czasami tym biednym ludziom, żeby im lżej było. Sanitariuszką jestem w PCK. A przecież tak się krwi boję. I rozglądam się po sali, czy Ciebie tam wśród tych rannych nie ma. I staram się, jak mogę tym żołnierzom pomóc, bo wierzę, że i Tobie gdzieś tam w szerokim świecie ktoś pomoże...”

– Hm, ciekawe – zadumała się Julia.

– Tak, kiedyś to była piękna miłość – westchnęła Kaśka, ocierając łzę.

– Och, nie chodzi mi o te egzaltowane wywody, po prostu mój pradziadek też nazywał się Jan i był oficerem w wojsku – odparła Julia.

– Egzaltowane... jak... – nie mogła dojść do siebie Kaśka – ale... to myślisz, że twoja prababka była aktorką?

– Nie, to bez sensu. Zbieg okoliczności. Już późno. Pójdę pobiegać, a potem muszę się z tym wszystkim przespać – zdecydowała Julia – Zostaniesz tu chwilę sama?

– Co? A, jasne – odparła nieprzytomnie Kaśka, szukając w liście jakichś znaków. Julia wyszła z domu i miała udać się do samochodu, kiedy na ramieniu poczuła uścisk czyjejś ręki. Ręki bez serdecznego palca. ■

Magdalena Kusa – absolwentka historii i filologii polskiej UMCS.

Zespół redakcyjny: Bartłomiej Miernik (redaktor naczelny), Paulina Niedziałek (sekretarz redakcji), Magdalena Kusa, Martyna Zięba, Teresa Kmieć, Maciej Bielać, Luiza Nowak, Marlena Jonasz, Paulina Sulowska, Maja Ostrowska, Alicja Matwiejczyk, Anna Kołodziejczyk (korekta), Przemysław Piaseczny (Facebook)

Współpraca: Janusz Łagodziński, Łukasz Witt-Michałowski, Marcin Wasyluk
Skład i DTP: Katarzyna Długosz

Wydawca: Warsztaty Kultury w Lublinie
Kontakt: ul. Grodzka 5 A, 20-112 Lublin
gazetaproszeniem@gmail.com

Druk: Drukarnia Akapit

Nakład: 700

Na okładce wykorzystano zdjęcie ze spektaklu *Tata ma kota*. Na zdjęciu od lewej Karol Wróblewski, Przemysław Sadowski



WARSZTATY KULTURY

CZY HERKULES ZMIECIE GNÓJ?

TERESA KMIEĆ



fort. Mateusz Wajda

W sobotnie popołudnie, parę godzin przed prapremierowym wieczorem, oglądałam plakaty promujące *Herkulesa i stajnię Augiasza*. Zobaczywszy futurystyczne kostiumy i makijaże à la rosyjskie matrioski, jęknęłam w duchu. Bałam się, że dramat Friedricha Dürrenmatta zostanie zepsuty przerosłem formy nad treścią.

Choć Herkulesowi zdecydowanie bliżej do skrzyżowania Supermana z bohaterem *Gwiezdných Wojen* niż do antycznego herosa w lwiej skórze, choć mieszkańcy tonącej w gnoju Elidy z czerwonymi rumieńcami na plastikowych policzkach rzeczywiście wyglądają jak drewniane odpustowe lalki, choć złota, migocząca kurtyna przywołuje raczej atmosferę rewii niż zebrania rady polis, całość spektaklu jest dość czytelna. Antyk, brud, miłość, polityka – to wszystko spotyka się na scenie, nie wprowadzając jednak chaosu, a wydobywając, podkreślając myśl spektaklu.

Dürrenmatt wykorzystał jedną z mitycznych dwunastu prac Herkulesa, by opowiedzieć o przekleństwie biurokracji, która hamuje zmiany. Sztuka z 1954 roku jest nad podziw aktualna tu i teraz. Ponadczasowy jest przecież strach przed zmianą, przed nieznanym niebem, od którego zawsze lepsze wydaje się znane piekło. A pytanie, do czego wolno się posunąć artyście, co jeszcze może zrobić, gdy potrzebuje pieniędzy, by się ostatecznie nie sprzedać, wyjątkowo pasuje do współczesności. Herkules ląduje w cyrku – na początku tylko kłania się, by zebrać burzę braw, ale w końcu wchodzi za złotą kurtynę, aby, dopingowany, podnosić coraz cięższe sztangi. Wraca coraz bardziej zmęczony, a każde kolejne wyjście do niewidocznej publiczności

ści to wiszące w powietrzu pytanie – czy tym razem też mu się uda?

Aktorzy-mieszkańcy Elidy stanowią zespół. Duża w tym zasługa dobrze opracowanych choreograficznie przez Jarosława Stańka scen zbiorowych, w których ruch, chórkalne okrzyki i wspólny śpiew jednoczą, ale i grupują Elidyjczyków.

Na szczególną uwagę zasługuje muzyka Jacka Grudnia, grana na żywo, dość oszczędna – tu bardziej od ilości i potęgi brzmienia liczy się pomysł. Kompozytor potrafi melodią opartą na trzech dźwiękach zbudować napięcie, podkreślić charakter sceny, ale nie przysłonić akcji. Piosenki wykorzystane w spektaklu są celne w warstwie tekstowej, nie przeładowane harmonią czy skomplikowaną meliką, świetnie wpisujące się w klimat sztuki. Jest nadzieja na zmiany, ale i obawa przed tym, co przyniosą. Jest napięcie i odrobina humoru. Co się stanie, „gdy Herkules zmiecie gnoj”? Lubelska inscenizacja dramatu szwajcarskiego dramaturga nie przysłoniła na szczęście współczesnym, groteskowym anturazem. ■

Teresa Kmiec – absolwentka ekonomii i muzykologii KUL.

Teatr im. Juliusza Osterwy w Lublinie
Herkules i stajnia Augiasza Friedricha Dürrenmatta

Prapremiera: 30 maja 2015 roku

Reżyseria: Artur Tyszkiewicz

Scenografia: Justyna Elminowska

fort. Mateusz Wajda



NA MARGINESIE

Tekst Friedricha Dürrenmatta uderza aktualnością. Być może dlatego, że paradoksalnie prawdy w nim zawarte nie są zbyt odkrywcze. Jednak potencjał *Herkulesa i stajni Augiasza* (1954 r.) w polskiej rzeczywistości (2015 r.) jest ogromny. Niestety, w spektaklu Artura Tyszkiewicza nie został on wykorzystany.

Najjaśniejszą stroną spektaklu jest wykonywana na żywo muzyka skomponowana przez Jacka Grudnia. Kwartet dęty w inscenizacji wtapia się w zgromadzenie obywateli, uczestniczy w debatach, które ci prowadzą na temat oczyszczenia miasta z gnoju. Songi skomponowane przez Grudnia, a wykonywane chóralnie przez aktorów, przypominają spektakle z lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku, kiedy to aktorzy w tej właśnie formie wyśpiewywali na scenie swój sprzeciw przeciwko systemowi PRL-u.

Na tym jednak zalety spektaklu Artura Tyszkiewicza się kończą. Inscenizacja jest zbyt statyczna i, jak na tragifarsę, niezbyt śmieszna. Aktorzy ubrani przez Justynę Elminowską w komiksowe kostiumy (inspirowane strojami Supermana i Kobiety-Kota) nie mogą rozwinąć pełni swoich umiejętności. Janusz Łagodziński jako zblazowany Herkules nie przyciąga uwagi. I nie jego to wina, bo nie ma czego grać. Najlepiej w tym inscenizacyjnym, nudnym bałaganie wypada asystent Herkulesa, Polybios (Daniel Salman). On jeden pokazuje dramatyzm swojej postaci, wiecznie odbierającej razy od gniewnego Herkulesa. Pozostali aktorzy zachowują się na scenie, jakby mieli grać farsowo, jednak bali się zbytniego przerysowania postaci.

Herkules i stajnia Augiasza sprawia wrażenie, jakby reżyser miał pomysł na przeniesienie słuchowiska Dürrenmatta, ale bał się pójść na całość. Powstał ni to komiks, ni to farsa. A na przejmującą tragedię materiału było zdecydowanie za mało. ■

Marcin Wasyluk – dziennikarz radiowy i telewizyjny, współpracuje z portalem teatralny.pl. Mieszka w Warszawie.

KOBIECA STRONA MIASTA

LUIZA NOWAK



foto: Agnieszka Wazus

Już od wejścia do Galerii Labirynt, razem z grupą widzów zostałam wciągnięta w przestrzeń sceniczną spektaklu *Vulva–Lublin jest kobietą*. Narrator (Jarosław Tomica) wprowadził nas niczym wycieczkę po muzeum, a raczej po galerii sztuki, w której eksponatami są kobiety, które, jak sam mówi, były w jego życiu ważne. Wszystkie są mieszkankami Lublina. Na ekranie oglądamy bohaterki niejako poza „ekspozycją”. Przemierzają ulice miasta, spacerują, idą do pracy i wracają do domu, a więc z pozoru niczym nie różnią się od kobiet, które obserwujemy codziennie na lubelskich ulicach.

Zwiedzając „galerię kobiet”, widz poznaje ich historie, dzięki czemu przestają być anonimowe. Pierwszą z nich jest Asenefa (Ilona Zgiet), krzątająca się po kuchni żona rozpamiętująca złe i dobre chwile swojego małżeństwa. Kolejna to Marta (Katarzyna Tadeusz), matka i kobieta pracująca. Jej przestrzenią jest salon, w którym przechadza się i wykonuje domowe czynności. Z kolei Maria (Iga Załączna) to niespełniona poetka tworząca swoje dzieła w łazience. Ostatnią ekspozycję stanowi sypialnia, w której znajduje się Aktorka (Angelika Kujawiak), która mimo młodego wieku ma za sobą mroczną przeszłość. Okazuje się, że Narrator uchronił ją od życia na ulicy, na której wylądowała po nieudanym egzaminie do szkoły aktorskiej. Jednak miasto to nie jedyny punkt wspólny. Bohaterki łączy Narrator, mężczyzna, którego każda z nich na swój sposób kochała, i który każdą z nich darzył uczuciem. Wszystkie się znają i utrzymują ze sobą kontakty. Wiedzą, jaki wpływ miał na każdą z nich. On zresztą nie ukrywał ich przed sobą. Przedstawia nam je

w subiektywny sposób, jako bierny obserwator wydarzeń. Razem z publicznością przygląda się wspólnym działaniom bohaterek.

Porozumienie między widownią a Narratorem ułatwia fakt, że miejsce dla widzów znajduje się w centrum przestrzeni, dzięki czemu w trakcie spektaklu wydaje się, że wydarzenia dzieją się tuż obok. Wraz z rozwojem wypadków okazuje się, że kobiety łączy coś więcej niż miasto i kochanek. Mimo różnych statusów, zawodów i wieku, każda z nich ma bagaż życiowych doświadczeń. Postaci są samotne i zamknięte w schematach narzuconych przez społeczeństwo. Mają marzenia i niezrealizowane plany. Dzięki temu udaje im się współpracować i znaleźć wspólny język. Z pewnością takie kobiety żyją wśród nas i wiele mieszkanki Lublina mogłoby się z nimi utożsamiać.

Vulva–Lublin jest kobietą to opowieść o kobiecej stronie miasta, często niedostrzeganej i pomijanej. Dopiero zamknięta w „muzeum osobowości” staje się bardziej wyraźna. Z kolei przy bliższym poznaniu osoba anonimowa przestaje być eksponatem, a staje się postacią z krwi i kości, która ma uczucia i własną, nieraz pokrętną historię. ■

Luiza Nowak – studentka prawa UMCS.

Galeria Labirynt

Vulva – Lublin jest kobietą

Premiera: 18 kwietnia 2015 roku

Organizator: Stowarzyszenie Artystów „Bliski Wschód”

Reżyseria: Joanna Lewicka



foto: Paweł Węgra

O MATCE

BARTŁOMIEJ MIERNIK

Końcem maja odbyły się w DDK Węglin dwa zamknięte, premierowe pokazy spektaklu *Matka Polka Teatralna – Konkurs*. Jak piszą na stronie internetowej organizatorzy, „szersza publiczność będzie mogła zobaczyć spektakl we wrześniu”. Zatem szykujcie się Państwo na wydarzenie, bo rzecz jest ważna, istotna społecznie i całkiem nieźle poprowadzona dramaturgicznie i reżysersko.

„Każda matka ma chwile, kiedy chciałaby się wystrzelić w kosmos. Każdej matce, chociaż żadna się do tego nie przyzna, przynajmniej raz w życiu przeszło przez myśl, żeby wrzeszczące wniebogłosy dziecko wyrzucić przez okno”. Mocno, dosadnie piszą o tym pokazy autorki. Na scenie jest łżej w środkach wyrazu, łżej też w treści. Na szczęście mocne momenty zbijane są humorystycznymi wejściami Mateusza Nowaka, wcielającego się w wodzireja prowadzącego teleturniej. Głupkowaty, debilny teleturniej: Konkurs na Najwspanialszą Matkę, typu – opowiedz mi swoją historię, a jeśli mnie wzruszysz, to wygrasz. Pokaż też, co potrafisz przyrządzić przy kuchennym stole. Matki buntują się i w finale opuszczają program, dość mają obierania marchewki na oczach zgromadzonej w studiu publiczności, dosyć kpiącego tonu wodzireja. Reprezentują różne typy: od opiekuńczej, po walczącą feministkę, od wegetarianki po kuchenną tradycjonalistkę. Zaczynają przedstawienie w pozycji leżącej, obrysy świetlne padają raz na jedną, raz na drugą, podrywają je do pozycji siedzącej jak ostre, szpitalne światło, które każe wstać z łóżka, budzi ze snu. Ładna to zresztą scena, gdy tak ze strzępków, z urywków tka się ta pro-

PIĘĆDZIESIĄT TWARZY OJCOSTWA

MARTYNA ZIĘBA

sta historia o matkach, o dzieciach, o obowiązkach względem rodziny.

Piszą organizatorzy, że „Matka Polka Teatralna to dziewięciomiesięczny projekt, podczas którego matki i nie-matki z Lublina pracowały nad spektaklem opowiadającym o macierzyństwie. Wymyśliły wynalazki niezbędne do tego, by przetrwać jako matka”. I w jednej z najbardziej komicznych scen prezentują te, hmmm... wynalazki pomagające im przeżyć w domu, udźwignąć te dodatkowe etaty: matki, żony i gosposi.

Z twarzą i z tarczą wychodzą aktorki w zróżnicowany sposób opowiadające historie i dykteryjki ze świata matek. Chciałoby się w Lublinie oglądać więcej ważnych społecznie prezentacji na scenach. Na takim poziomie jak ta. Przynajmniej na takim. ■

DDK Węglin

Matka Polka Teatralna – Konkurs

Pokazy przedpremierowe: 23 i 24 maja 2015 roku

Pomysłodawca projektu: Mateusz Nowak

Opieka artystyczna: Joanna Lewicka, Katarzyna Tadeusz

Na scenie stoi piaskownica. Jest duża, z żółtych desek. Obok niej statua przedstawiająca kobietę. Wyglądem przypomina rzeźby socrealistyczne. Ma szerokie biodra, na których opiera dłonie. Światło w Sali Czarnej podkreśla jej kształtne piersi. Sylwetka kobiety nie ma w sobie nic z wysublimowanego erotyzmu. Góruje nad piaskownicą i nad nimi – pięcioma mężczyznami, z których każdy ubrany jest w krótkie, błękitne spodnie i białą bluzkę. Ubiór charakterystyczny dla uroczego przedszkolaka z kreskówki. Mężczyźni, którzy muszą zmierzyć się z problemem samotnego wychowywania dzieci, rozwodami, z wymaganiami stawianymi im przez rodzinę i społeczeństwo. Właśnie takie tematy porusza wyreżyserowany przez Łukasza Witta-Michałowskiego tekst Szymona Bogacza *Tata ma kota (albo Poczytaj mi Tato)*.

Każdy z mężczyzn ma do opowiedzenia historię swojego zmagania się z nowymi obowiązkami, jakie pociąga za sobą bycie ojcem. Już przed narodzinami dziecka, przyszłego tatę czeka wiele często dyskomfortowych zadań. Badanie spermy, traumatyczna rozmowa z teściami, uświadomienie sobie, że teraz życie będzie wyglądało zupełnie inaczej. W spektaklu etapy, które musi przejść mężczyzna, pokazane są na zasadzie gry. Jeden z mężczyzn zakłada kaftan bezpieczeństwa i przy głośnym dopingu pozostałej czwórki próbuje przejść kolejne rundy. Początkowo przyjemne zadania, takie jak wyznaczenie miłości kobiecie czy opieka nad nowo narodzonym potomkiem, zmieniają się w coraz trudniejsze. Rozwód, walka w sądzie o możliwość widywania się z dzieckiem z tą, której przyrzekało się wierność do końca.



foto: Maciej Rukasz

Matka jest od wieków uważana za tę, której rola w wychowaniu dzieci jest niezaprzeczalnie istotna. Co w takim razie z ojcem? Samotna matka może liczyć na pomoc albo przynajmniej współczucie społeczeństwa. Ojciec, który sam wychowuje dziecko jest pod ciągłą obserwacją. Każda jego decyzja zostanie oceniona. Bogacz w swojej sztuce pokazuje tę niesprawiedliwość, która powoduje, że sprawy rozwodowe zazwyczaj kończą się pozowaniem ojca praw rodzicielskich. Według społeczeństwa rola mężczyzny ma się ograniczać do ciągłego dbania o bezpieczeństwo rodziny i tylko tego.

Pięciu aktorów: Przemysław Sadowski, Arkadiusz Cyran, Dariusz Jeż, Jarosław Tomica i Karol Wróblewski w spektaklu gra mężczyzn walczących o opiekę nad dziećmi, przerażonych ojcowskimi obowiązkami, ale kochających ponad wszystko swoich synów i córki. W zrozumieniu ich sytuacji i rozstrzygnięciu sporu, czy ojciec jest równie ważny w wychowaniu potomstwa pomaga, wcielający się w Eksperta Od Wszystkiego, Jan Nowicki. Może wnioski, do jakich dojdą sprawią, że od teraz będziemy mówić „ojciec jest tylko jeden”? ■

Martyna Zięba – tegoroczna absolwentka Zespołu Szkół nr 2 im. Pawła Karola Sanguszki w Lubartowie.

Scena Prapremier In Vitro; Centrum Kultury w Lublinie

Tata ma kota (albo Poczytaj mi Tato)

Premiera: 27 marca 2015 roku

Scenariusz: Szymon Bogacz

Reżyseria: Łukasz Witt-Michałowski

Produkcja: Monika Stolat

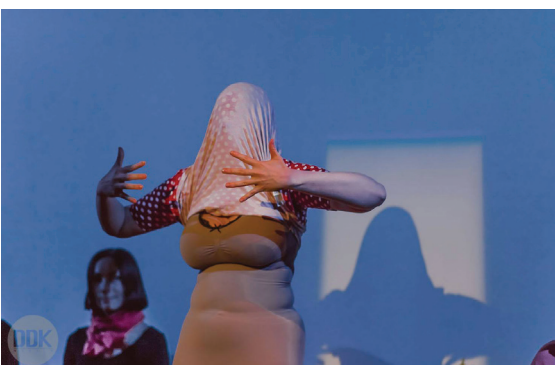


foto: Paweł Węglin

OTWORZYĆ SIĘ NA LĘK

PAULINA NIEDZIAŁEK



for Jakub Szafrański

Na scenie znajduje się sześć osób usadzonych w dwóch rzędach na przeciw siebie. Czerń ich strojów kontrastuje z białymi paskami. Takimi paskami zostały opatrzone również ich twarze. Przy muzyce pianina wykonują mocne, nerwowe tiki – każda z nich charakterystyczny dla siebie gest. Po kostiumach można wnosić, że są to pacjenci szpitala psychiatrycznego. Jak się okazuje w placówce, którą wyznacza kwadrat z taśmy budowlanej, nie tylko pacjenci są szaleni.

Poznajemy dwójkę opiekunów zniewolonych pacjentów – lekarza oraz pielęgniarkę. Ci z kolei ubrani są w białe stroje z czarnymi paskami. Ich opieka ma jednak zupełnie inny wymiar niż w zwykłym szpitalu. Swój wyglądem również nie przypominają tradycyjnych lekarzy – mają na rękach długie, gumowe, czarne rękawice, przez które dotykają pacjentów. Pielęgniarka, rozdając leki cierpiącym, wykrzykuje: „Za mamusię, za tatusia... za życie!”, wyśmiewa się z podopiecznych, którzy po przyjętej dawce zapadają w apatię. Wykonują wszystko, co jest im nakazane. Kiedy zaś zrobią coś złe, są szykanowani, a podczas „ćwiczeń porannych” zwyczajnie bici, nie zawsze w symboliczny sposób. Pielęgniarka i lekarz świetnie się bawią. A największą przyjemność sprawia im tresura podwładnych, która doprowadza do jeszcze większego obłądzenia. W pewnym momencie pacjenci przypominają młode psy, które uczone są zasad.

Od początku spektaklu jeden z chorych stara się podkreślić swoją odrębność. W scenie, w której współtowarzysze niedoli opowiadają o swoich cierpieniach i lękach – on milczy. Jego żale i troski puszczane

O MOZARCIE, KTÓRY NIE CHCIAŁ PODRÓŻOWAĆ

TERESA KMIEĆ

są z offu. Szaleństwo i chęć pokazania odmienności doprowadzają do wydalenia go ze szpitalnej społeczności – zostaje skutecznie usunięty przez doktora i pielęgniarkę. Scenie tej towarzyszy mocne, żółte światło skierowane na doktora, pielęgniarkę i chorego. Reszta postaci pozostaje w mroku, co nadaje specyficzny charakter chwili i podkreśla wagę wydarzenia.

Pod wpływem wydarzeń, pięciu pacjentów pragnie się zmienić. Podejmują postanowienia, które jak najszybciej chcą wcielić w życie. Przedstawiają to za pomocą białych, drewnianych kijów. Wymachują nimi kreśląc różne figury (serce, krzyż), które odzwierciedlają ich przyrzeczenia. W efekcie, tylko jednemu z nich udaje się pokonać lęk i wrócić do świata „żywych”. Osoba ta przechodzi przez wyznaczoną linię szpitala do publiczności.

Spektakl opisuje jeden dzień z życia ludzi psychicznie chorych. Ale czy na pewno są oni psychicznie chorzy? Przecież to tylko ja ich tak postrzegam. ■

Paulina Niedziałek – uczennica V LO im. Marii Skłodowskiej-Curie w Lublinie.

Teatr Pierwszego Kontaktu

Bez lęku

Premiera: 28 marca 2015 roku

Scenariusz i reżyseria: Tomasz Załucki

Ruch sceniczny: Martyna Valkov

Muzyka: Bartłomiej Węgliński



for Przemysław Bator

Prawdopodobnie król Stanisław August Poniatowski, kiedy w 1765 roku zakładał w Warszawie Teatr Narodowy, nic nie słyszał o niezwykłym, dziesięcioletnim wówczas, Wolfgangu Amadeuszu Mozarcie. Co więc łączy urodziny polskiego teatru z twórczością austriackiego geniusza? *Czarodziejski flet Mozarta*, którym w Teatrze im. Hansa Christiana Andersena postanowiono uczcić 250. rocznicę powstania teatru publicznego w Polsce.

Wolfi – bo tak na kompozytora mówią najbliżsi – ma piętnaście lat i lada dzień ma wyruszyć w kolejną podróż, tym razem do Włoch. Nastoletni Mozart próbuje jednak przekonać ojca, by zostali w Salzburgu, przecież właśnie zjeżdżają się tam teatry marionetkowe, a on tak bardzo chciałby je zobaczyć! Bezskutecznie. Zbuntowany artysta znika na noc z domu. I w tę właśnie noc spotyka tajemniczego, choć trochę nieporadnego Papageana oraz otrzymuje równie tajemniczą misję.

Opera to gatunek piękny i kunsztowny, ale trudny w odbiorze – potrzeba czasu, by tę sztukę poznać, a co dopiero zrozumieć i polubić. Mając to na uwadze, twórcy spektaklu stworzyli dzieło przystępne dla najmłodszych słuchaczy, ale niepozbawione czaru i piękna oryginału. Wielką w tym zasługą Rafała Rozmusa, który wziął na siebie lada odpowiedzialność – tak po bawić się muzyką Mozarta, by jej nie zepsuć, nie zbanalizować, nie zastąpić własnymi pomysłami; tak ją opracować, by trafiła do najmłodszych uszek. Oraz – co nie jest bez znaczenia w kontekście wielkiego dzieła scenicznego – by dała się wykonać na niewielkiej scenie,



O TOŻSAMOŚCI

MARTYNA ZIĘBA

w kameralnym gronie trzech muzyków. Słynne arie zostały umiejętnie zaadaptowane do możliwości wokalnych aktorów – obniżono tonację, dopisano polski tekst, uproszczono i skrócono linię melodyczną, przepisano partyturę orkiestry na trzy instrumenty, ale ogólny charakter został zachowany. I kiedy się słucha tych nowych wersji, w głowie i tak pobrzmiwa oryginał. Który zresztą chwilami występuje w spektaklu – kompozytor pozwolił dźwiękom Mozarta przemówić także własnym, niezmiennym głosem.

Mówi się, że muzyka operowa jest za trudna, nudna, przeznaczona dla garstki doświadczonych melomanów. *Czarodziejski flet Mozarta* pokazuje, że umiejętne podejście do klasyki – opracowanie, dopełnienie obrazem, lalkami, humorem – odsłania jej najpiękniejsze oblicze. Takie, którego nie czyta się rozumem, ale sercem. Teatr im. Hansa Christiana Andersena przygotowuje w małych umysłach miejsce dla wielkiej sztuki. ■

Teatr im. H.Ch. Andersena
Czarodziejski flet Mozarta
 Premiera: 23 maja 2015 roku
 Scenariusz na motywach libretta
 Emanuela Schikanedera: Dariusz
 Czajkowski
 Reżyseria: Agnes Salamon
 Scenografia: Andrea Költringer

Wiosna to czas zmian nie tylko w świecie przyrody. Właśnie ta pora roku to moment, w którym najchętniej decydujemy się na zmiany w swoim życiu – od tych dużych, jak budowa domu, do tych mniejszych, jak rozpoczęcie serii treningów fitness czy zdobycie nowych doświadczeń teatralnych. To ostatnie było możliwe podczas jedenastej edycji Studenckiego Ogólnopolskiego Festiwalu Teatralnego „Kontestacje”.

Tematem wspólnym dla wszystkich zaprezentowanych w tym roku spektakli była różnie rozumiana tożsamość, ze zwróceniem uwagi na to, co na nią wpływa. Biorący udział w festiwalu artyści korzystali z różnych form. W programie były między innymi teatr tańca, monodramy, czytanie performatywne, warsztaty. W każdym ze spektakli przedstawiono inne relacje i ich wpływ na kształtowanie się osobowości. Od tożsamości wywodzącej się ze związku dwojga ludzi przez tę opierającą się na konfrontacji człowieka z człowiekiem czy z całym społeczeństwem do stwarzanej na podstawie więzi z Bogiem.

W swoim monodramie *Dziecko – Dorosły – Dzieci* Dominik Gąsowski przedstawił przyjaźń młodego mężczyzny z małą dziewczynką, Anną. W spektaklu podkreślono wzajemne oddziaływanie na siebie osób o różnych poglądach i doświadczeniach. W finale monodramu Gąsowski poruszył temat niechęci młodych do dorastania, przerażenia, jakie wzbudza w nich osiągnięcie dorosłości. Co więcej, posługując się przykładem konfliktu na Ukrainie, zwrócono tu uwagę na to, że sytuacja w kraju ma olbrzymi wpływ na kształtowanie się osobowości młodzieży. Był to swego rodzaju protest

przeciw sytuacji, w jakiej stawia się młodzież, od której wymaga się porzucenia beztroski i zaangażowania się w konflikt zbrojny.

Większość zaprezentowanych spektakli dotykała tematów bardzo trudnych – sztuka ma przecież za zadanie wpływać na odbiorcę, zwracać uwagę na zjawiska, które występują w jego otoczeniu. Choć oglądanie jeden po drugim spektakli wywołujących podobny rodzaj emocji było nużące, prezentacje same w sobie były warte obejrzenia. Sam festiwal jest doskonałym dowodem na to, że młodzi ludzie chcą aktywnie uczestniczyć w życiu kulturalnym i dzielić się własną wrażliwością z innymi. ■

Akademickie Centrum Kultury
 UMCS „Chatka Żaka”
 XI Studencki Ogólnopolski Festiwal
 Teatralny „Kontestacje”
 Data edycji: 24 – 26 kwietnia 2015
 roku



DROGA MELPOMENO

JANUSZ ŁAGODZIŃSKI



fol. Natalia Giza



fol. Archiwum autora

PASZTET Z KRYTYKA

ŁUKASZ WITT-MICHAŁOWSKI

ŻYJ I DAJ ŻYĆ INNYM

Droga Melpomeno,

przy okazji ostatnich, burzliwych, politycznych wydarzeń, przy nieustającej polaryzacji poglądów, eskalacji wrogości czy wręcz nienawiści i nietolerancji, pomyślałem sobie, że fantastyczny zawód uprawiam. „Żyj i daj żyć innym” powinno być bowiem dewizą wszelkiej maści artystów.

Przygotowując nową premierę w teatrze, analizujemy z reżyserem charaktery i zachowania scenicznych postaci i ich wzajemne relacje. Szukamy „pozytywnych imperatywów” zmuszających ich do często ekstremalnych występów, mających swoje podłoże w genach, wychowaniu, sytuacji życiowej lub choćby błędnej ocenie czyichś intencji. Prowadząc warsztaty teatralne ze studentami, często proponuję im moje ulubione ćwiczenie polegające na budowaniu dramatycznej sceny, w której aktorzy mają przydzielone role, bronią granych przez siebie postaci. Następnie zamieniają się i muszą wcielić się w swoich dotychczasowych scenicznych przeciwników. Często scenariusze są brane z życia. Wiem z doświadczenia, że pozwala to wtedy z większym dystansem i tolerancją spojrzeć na swoją przeszłość i przyszłość. Tak, teatr może mieć znaczenie psychoterapeutyczne. Jest też świetnym wentylem bezpieczeństwa. Pozwala dawać upust niektórym złym, a przecież pożytecznym emocjom, często tłumionym w „realu”. Bo scena to kilka metrów kwadratowych wolności. Tak przynajmniej, moim zdaniem, być powinno. Scena też uczy nas, jak być człowiekiem społecznym, pozostając człowiekiem indywidualnym. Bo nasze osobiste reakcje są zawsze wobec akcji partnerów. I odwrotnie. Jesteśmy skazani na siebie. A w ostatecznym rozrachunku, przyjdzie widzi i oceni. A on chce widzieć spektakl jako całość. Artystyczny efekt naszej wspólnej pracy.

I kiedy tak myślę o terapeutycznej i edukacyjnej funkcji teatru, to robi mi się żal, że nie wszystkie szkoły mają w swoim

programie zajęcia teatralne. Że nie docenia się ich znaczenia. Znaczenia sztuki w wychowaniu młodych ludzi. W Danii na przykład (ale przecież nie tylko tam) przykładem do tego ogromną wagę. Przedszkolaki chodzą do galerii, uczą się patrzenia na malarstwo. W szkołach średnich jest mnóstwo zajęć tego rodzaju. Szkoły artystyczne na różnym poziomie są bezpłatne i doskonale wyposażone. Rozwijają się w ten sposób kreatywność i tolerancję. Jakże to ma znaczenie dla rozwoju kraju i poziomu zadowolenia mieszkańców nie trzeba chyba tłumaczyć. Droga Melpomeno, dziękuję Ci, że przyjąłeś mnie pod swoje skrzydła i proszę: otocz swą opieką również innych, szczególnie młodych, bo oni są naszą przyszłością. ■

Janusz Łagodziński – aktor teatralny i filmowy, od sezonu 2013/2014 w zespole Teatru Osterwy.

WĄSY MARSZAŁKA

Było to w czasach, gdy pewien wielokrotnie i bezskutecznie próbujący zostać prezydentem miasta Pan z Wąsami odkrył, że Marszałek wraz z Kasztanką posiada kości. I odkrycie to mu się nie spodobało. Wąsy wyrosły mu zbyt późno, by ujrzeć, jak parę ładnych lat wcześniej, w jednym ze swych spektakli, pewien Tadeusz – z domu Kantor – ujawnił kościec Kasztanki jeszcze dosadniej. Na szczęście tłumaczyć się dziś z tego nie musi, gdyż nie żyje.

W czasach, gdy wyświetlano kości, reżyserowałem na wygnaniu spektakl. Nad podobnym materiałem pracuje się dwa miesiące. My mieliśmy do dyspozycji pięć tygodni. Po dwóch, aktor grający główną rolę zrezygnował ze współpracy. Nie był w stanie nauczyć się tekstu na pamięć. Rzucił egzemplarzem albo egzemplarz rzucił nim. Zostały trzy tygodnie do premiery, a ja nie miałem głównego aktora. W desperacji obdzwoniłem wszystkich moich kolegów na etatach i freelancerów, którzy pasowaliby do tej roli. Za krótki termin, liczne zobowiązania, chętnie, ale następnym razem. Poszukiwania trwały tydzień.

Rola napisana dla czterdziestolatka przypadła w udziale aktorowi siedemdziesiąt plus. Z mojego wyobrażenia postaci, którą chciałem budować, pozostało jedynie rzewne wspomnienie. Z hummera jadącego dynamicznie, za to z odciętym przewodem paliwa, przesiadłem się w zaporozca, który wprawdzie nie stawał co chwila, za to jadąc 50 km/h w terenie niezabudowanym narzekał na zbyt prędką jazdę, przeciągi oraz długość trasy. Z kilkunastu monologów w sztuce pozostały jedynie dialogi. Z szaleńczego tempa artykulacji, na którym mi zależało, pozostały deklamowane wierszyki rodzem z akademii szkolnych. Przy każdej próbie wygzekwowania tego, co sobie wymarzyłem pękało mi serce w obawie, że mojemu wiekowemu aktorowi serce odmówi posłuszeństwa.

Kolejny tydzień zszedł mi na odpytywanie z tekstu na skutek nieobecnego suflera oraz reszty zespołu, która wybrała się na tygodniowe *tournee* po Polsce z innym spektaklem. Pozostał tydzień do premiery. Tam, gdzie studiowałem reżyserię, dziekan zwykł być mawiać, że reżyser ma prawo „zerwać” próbę wtedy, gdy aktor nie zna tekstu sztuki. Wyobraziłem sobie jak zrywam próby do momentu, gdy aktor będzie znał tekst. Policzyłem ilość dni, które pozostałyby mi wówczas do premiery. Wyszedł tydzień... po premierze.

Kantor tłumaczyć się nie może. Pan z wąsami powinien z tego powodu, że co wybory robi z ludzi idiotów, startując jako ktoś inny niż poprzednio. Trafił o bezczeszczeniu zmarłych, nie mając szacunku do żywych. Tłumaczyć się nie powinni twórcy mappingu, bo dobrze wykonali swoją robotę, przypominając raz jeszcze o tym, że nawet wielcy tego świata są śmiertelni. Tłumaczyć się będę widzom ja, bo nie obchodzi ich, kto czego nie wykonał na czas. Zapłacili za bilet i chcą zobaczyć dobre przedstawienie. ■

Łukasz Witt-Michałowski – reżyser teatralny, założyciel i dyrektor lubelskiej Sceny Prapremier InVitro.